



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartał. 5 marek.

POGA WĘDKA.

„Smutno było panu Eugeniuszowi rozstawać się z krajem, w którym przebył długie lata młodości pięknej, bujnej, tych chwil, niezapomnianych nigdy pierwszego rozwoju sił młodzieńczych, pragnień budzącego się serca, marzeń tak jasnych i pięknych, jak to niebo, pod którym przebywał, oddając się nauce, mającej mu odkryć, niezbadane może jeszcze przez nikogo, tajemnice przyrody. Ale obowiązki ciągnęły go do siebie, pociągało go serce, tam — daleko, gdzie pierwsze światło dnia ujrzał, gdzie droga matka przy kolebce śpiewała piosnki sennej dziecinie, gdzie, bądź co bądź, żyć musi, pracować, pozyskać szacunek współbraci, może miłość współsiostry i spożywać chleb dobrze zasłużony. W krainie, w której lat kilka na uniwersyteckich studiach przepędził, zostawiał duże grono przyjaciół, trochę wspomnień lekkich, pierzchliwych może, ale zawsze tych dobrych wspomnień, które w ostatniej pożegnań chwili szeleszczącym otaczają kołem, rozwijają się w białe, błękitne, czasami czerwone kwiaty i blaskiem tych barw i mocą zmieszanych zapachów silne nawet odurzają zmysły.

Pan Eugeniusz czuł się nie swój.

Z patentem w rękę, z nauką w głowie, z gorączkowym pośpiechem wybierał się w podróż powrotną, naznaczył już nawet dzień swego wyjazdu, ale gdy czas nie zatrzymywał się w swoim regularnym chodzie i wyznaczony termin już był nie za górami — pan Eugeniusz uczuł pewien smutek w sercu, że znajome sprzęty, miejsca i ludzi musi pożegnać na zawsze może. Ukrywał się z tą słabością przywiązania do własnych wspomnień, choć na obcej ziemi wylęglých, chciał jeszcze dzień, godzinę, mi-

nutę jedną dłużej pozostać, boć to już może nigdy się nie ujrzy tych uśmiechniętych, pocziwych twarzy koleżków, którzy, podczas wydanej dla niego pożegnalnej uczty, tyle mu nieklamanej przyjaźni, tyle prawdziwego serca okazali.

Wzdychał więc ukradkiem i, korzystając z resztek chwil mu pozostałych przepędzał je w gronie przyjaciół i znajomych.

— Zostań jeszcze dzień, dwa — prosili go koleczy.

— Nie mogę, moi najdrożsi. Za godzin parę pociąg odchodzi — jechać muszę — postanowiłem.

— Nieodwołalnie?

— Tak, nieodwołalnie i żadna moc mnie już od tego postanowienia zatrzymać nie będzie zdolna. Odwiedzę tylko zacny dom Montinich, panny Angeliki rączki ucałuję i — jazda.

Podał dłoń przyjaciołom i udał się do pięknej hrabiów Montinich willi.

Przywitano go, jak zwykle, serdecznie.

— Dobrze, że zastałem państwa.

— Miałeś pan dzisiaj odjeżdżać.

— I odjeżdżam, ale chciałem raz jeszcze pożegnać wasz dom, gdzie tyle szczerzej przyjaźni doznałem.

— Zasłużyłeś pan na nią — odezwał się hrabia.

— El rzucił Eugeniusz — większą tu rolę odegrała dobroć państwa, niż moje mizerne zasługi. Ale — chciałbym jeszcze i piękną hrabiankę pożegnać.

— Angelika przed godziną udała się konno na przejażdżkę w stronę rzymskiego lasu. Za chwilę powinna być już z powrotem.

— Jeżeli tak, to pozwolicie państwo, że wyjdę na jej spotkanie.

Oczywiście, że nie stawiano żadnego oporu i po chwili, młodzieniec, zagłębił się w cieniach pięknego parku hr. Montinich willi, przekroczył łąkę, przebył mostek rzucony przez wartko płynącą rzeczkę i, znajomą sobie drogą, udał się do czer-

niejącego w oddali, o drzewach dziewiczych niemal, lasu rzymskiego.

Nagle na skraju głuchej puszczy ukazał się małutki kłębek pyłu i zaczął się powiększać szybko, gwałtownie, przemieniając się w długi ogon komety, którego gwiazdą był rumak czarny, spieniony, dyszący, jak krater Wezuwiusza, gnany jakąś szatańską siłą.

Pan Eugeniusz wyteżył wzrok.

— Jezus Maryja! krzyknął...

I rzucił się naprzeciw spienionemu rumakowi. Był to koń Angeliki, ale amazonki na nim nie było.

Nagle zastukały silnie kopyta końskie i umilkły, jakby w ziemię wrosły.

To pan Eugeniusz silną dłonią osadził rozszałale zwierzę, i zanim amen mógłbyś w pacierzu wymówić, już rumaka miał pod sobą, a wiedziony złowrogim jakimś przecuciem nieszczęścia, które prawdopodobnie spotkało ostatnią latorośl domu Montinich — zawrócił konia i kierując się śladami stóp jego na miękkiej zostawionych ziemi, jak piorun pomknął i zapadł w głąbie pograżonego w wielkim spokoju — lasu.

Na zakręcie leśnej ścieżyny, u źródła zwanego „Zródłem Venery“, z głową o pień starego dębu opartą leżała omdlała Angelika, a w dali umykał człowiek jakiś o twarzy rozognionej i oczach błyszczących, widocznie spłoszony tętentem w cwał pędzącego konia.

Myśl zbrodni przemknęła błyskawicą przez mózg pana Eugeniusza — dopadł uciekającego bandytę i strzałem z pistoletu powstrzymał złoczyńcę.

Zbrodniarz padł, kula w bok mu trafiła, rana jednak nie była śmiertelna.

Eugeniusz skoczył do broczącego we krwi człowieka, który zbiegł od bólu oczy podniósł na swego zabójcę i rzekł:

— Czego chcesz odemnie — ja Angelikę kocham — ona musi być moja...

— Ona? twoja? wypadło z ust pana Eugeniusza.

Podbiegł do omdlałej.

Leżała jeszcze wsparta głową o pień starego dębu. Złociste włosy bujną falą do stóp jej spływały, pierś falowała szybko, a usta były blade jak dwa listki akacyi. Panu Eugeniuszowi się zdało, że widział przed sobą współumierającego anioła—była tak piękna, tak zabijająco piękna.

To dziwna! znał ją oddawna, a nigdy nie czuł tego, co w tej chwili czuje. To dziwna! widywał ją prawie codziennie, a nigdy mu się tak piękną nie wydawała. O! nie opuszczać mu dzisiaj tej krainy, gdzie raj się otwiera przed nim, gdzie gwiazda nieznanego dotąd szczęścia złotym blaskiem migotać zaczęła. Spojrzał za siebie i wzrokiem nienawiści ogarnął wijącego się z bólu człowieka, którego twarz zdawała mu się w tej chwili tak wstrętą, jak twarz szatana, a później oczy obrócił na czarodziejską postać Angeliki.

— Ona? twoja? zazgrzytał.

Od tego ustępu już może rozpocząć się romans niezwykle ciekawy, którego pensyonarki czytać będą ze zbielałemi od wrażenia paznociami, a panowie krytycy za głowę się porwą, i — jak pan Eugeniusz na spienionego rumaka Angeliki—wsiadą na biednego autora sensacyjnej powieści, zarzucając mu naciąganie wypadków, wyzdanie fantazyi i inne tym podobne grzechy. Bo proszę państwa. Pan Eugeniusz miał nieodwołalnie wyjeżdżać, ale, gdyby wyjechał, nie byłoby sensacyjnej powieści, zatem autor prowadzi go do domu hr. Montinich. To nie jeszcze — mógłby zastać Angelikę i także wyjechać i znów by nie w powieści nie było. Pardon! nie został. Wyjechała na spacer, a on na jej spotkanie wyszedł. Ale mógłby powracając spotkać i znów by wszystko przepadło. Ba! kiedy nie spotkał, a tylko jej spienionego rumaka zatrzymał. Prawdą! o wypadek nie trudno. Panna Angelika mogła spaść z konia, potłuc się trochę, omdleć, nożkę złamać nawet, a pan Eugeniusz, odwoławszy ją do domu rodziców, pojechać zawsze.

Otóż nie!

Spotkał jakiegoś bandytę, który był przyczyną strasznego wypadku.

No i cóż z tego? kropnął doń z pistoletu, zamordował czy ciężko rannego oddał w ręce władzy—i zawsze mógł wyjechać; ale bandyta wypowiedział słowa, które zastanowiły pana Eugeniusza.

Miłość!

To takie piękne.

Spojrzał na Angelikę — na myśl mu przyszedł umierający anioł. W sercu jego obudza się zawsze do tego nikczemnika, który śmiał oczy podnieść na ostatnią latorośl z domu Montinich. Krew mu napływa do serca, ogrzewa je, robi się mu dziwnie przyjemnie i ciepło. — „Ona? twoja?“ wybiega mu z ust i — wszystko w porządku. Pan Eugeniusz zostaje, miłość dwóch ludzi, z dodaniem panny Angeliki, która oczywiście ocenia wartość uczucia pana Eugeniusza — szeroka rozlewa się falą, pensyonarki trzęsą się a autor wzięte honorarium na szansonetki w „Belle-vue“ — puszcza.

— Nie przeczymy—ale dla czego, szanowny pan, to mówi?

— A to dlatego, łaskawi moi państwo, że powieść o podobnym zaczęciu, jako nieprawdopodobna byłaby z góry potępiana. A tymczasem, takie szczególne szczególności mogą się przytrafić na świecie. Podobny wypadek wyjazdu, wyjścia na spotkanie amazonki, schwycenie rozhukanego rumaka, znalezienie panny omdlałą, kula w bok wpakowana uciekającemu zbrodniarzowi — wszystko to wydarzyło się według relacji podanej przez „Kuryer Codzienny“ tylko, że to się działo w Kalifornii z panem Julianem M. inżynierem znanym w kołach warszawskich, że lady była córką bankiera, bandytą indyjanin na śmierć rozkochany w pannie. Miłość Eugeniusza jest już dodatkiem autora, koniecznym dla stworzenia interesującej powieści—ale wszystko świętą jest prawdą, przysięgam na „Kuryer Codzienny“!

— Ej! nie czyn pan takiej przysięgi.

— Dla czego?

— A Hyc?..

Zarumieniłem się.

— Proszę państwa — ani ja, ani „Kuryer“ niewinni wcale jesteśmy, że wpadliśmy w pułapkę dobrej naszej wiary. To bardzo nawet dobrze mówi

o nas. Nie umiając kłamać, nie posadzamy o to innych. To mówi nawet bardzo dobrze o nas, bo jest dowodem naszych szczerych pragnień, ażeby lud się budził i z łona swojego wydawał niepowszednie jednostki. Być może, że uczucie przeważało może refleksyę, która nastąpić powinna, po baczniejszym wejrzeniu w istotę rzeczy. Ale to już leży w naszej naturze, że my zawsze prawie uczucie przed rozumem kładziemy — to zaś śmiertelnym grzechem nie jest, może wadką, wadą, ale zbrodnią — nigdy! — Rzeczywiście, że z Hycem smutna się stała historia, bo przejrany przez nas, w gronie literatów zeszyt jego areydział, okazał się zbiorem mało znanych, lub zapomnianych w części, utworów Jaśkowskiego, Prusinowskiego i piosnek dawnych, śpiewanych przez matki nasze przy akompaniamencie fortepianu. Oszukać się można, ale oszukańca wytopić by należało, bo może w całej tej sprawie brzydszy, niż się na pozór wydaje, ukrywa się figiel. Pachłoby to, nie już konceptem głupim, lecz jakimś większej miary oszukaństwem, jeżeli prawdą jest, jak o tem *niby* z prawdziwego słyszeliśmy źródła (*niby* lub *jakoby*, będą teraz częściej powtarzał), że dla kształcenia talentu Hycy do 1.600 rs. zbrano. Robiłoby się jakies: fel na które pobłażliwym okiem patrzeć nie należy. Pośpieszenie ze składką tak znacznej *jakoby* sumy, jest jednym więcej dowodem poczciwości naszego społeczeństwa, braku sobkowstwa, jego szlachetnych uczuć i chętnego przybywania z pomocą tam, gdzie coś dla przyszłości się robi. Zarumieniłaś mnie pani wspomniawszy o Hycu, ale doprawdy, że ten rumieniec był przesłanką w stronę nędznego mistyfikatora. Zatem, przebacza mi pani mimowolne oszukaństwo?

— Ależ naturalnie.

Ze smutkiem żegnam cię Adamku Hycu!

— Eppur si muove?

— Pragnąłbym szczerze, by było choć *coś*, jak dotąd — *z niczego?*

Karnawał minął — nie można zdaje się powiedzieć: jak sen uroczy — posypało się głowy popiołem, resztę grzechów rzuciło u progów kościelnych i nastroiło się myśl do rozmyślań postnych.

Post!

Ech! zawsze jest post dla biednych synów tej ziemi. Czasami tam jakieś światelko szczęścia zabłyśnie na horyzoncie życia ludzkiego, ale to takie niepewne, mdłe, tak otoczone obłoczkami i obłokami, że nie każdy je dojrzy, nie każdy uchwycić będzie wstanie. A jednak i ono jest pociechą w tem życiu, tylko by osiąść to mdłe i niepewne, potrzeba pierś wyteżyc, wyteżyc bardzo i szare chmurki odegnąć wielkim wysiłkiem woli i pracą płuc wszystkich.

Post jest przeznaczony na rozmyślanie.

Rozmyślajmy, skupmy się w duchu, módlmy się do Pana Zastępów o moc spokoju, o siłę wytrwania, rzućmy precz grzechy dawne, by godnie się przygotować do wielkiej Zmartwychwstania chwili.

Nie długo, nie długo już czekać, jak złotemi promieniami słońce do okien naszych zastuka, jak...

Post!

Przepraszam was, szanowni czytelnicy, ale o małym znowu nie zaczął pisać o pogodzie, której szanowny wydawca „Bluszu“ a mój osobisty przyjaciel, bardzo nie lubi i już mi względem tego pewne zastrzeżenia poczynił. A to tak jakoś dobrze, jak kontredansa od pieca, wszelką rozmowę od pogody zaczynać, boć to zaraz człowiekowi i to i owo na myśl przyjdzie i przypomni sobie, ot, choćby, że budujący się przy ulicy Dzielnej piękny kościół pod wezwaniem S-go Augusta, z funduszków ofiarowanych przez ś. p. Augustowę hr. Potocką — miał być pozbawiony na czas bardzo długi, jednej z najświetniejszych swych ozdób, wyniosłej, pięknej wieży, bo fundusz się wyczerpał, a pozostałe pieniądze obojętkowo powinny być obrócone na wykończenie wnętrza świątyni, by wierni mieli gdzie Boga chwalić. Kosztowne rusztowanie, którego postawienie tysiące rubli wyniosło, miało być rozebrane, wzniesienie zaś drugiego pociągnęłoby za sobą za wielki wydatek. Dobrem jednak przecuciem był obdarzony budowniczy p. Józef Huss, gdy się nie pośpieszył z rozbiórką, bo oto dowiadujemy się, że dzięki ofiarności i zabiegom p. Ludwika Górskiego znalazł

się fundusze na dalszą budowę wieży, która podjęta będzie z nastaniem wiosny. Wzmianka o pogodzie przypomniła mi także i nową ulicę, przeprowadzoną od Alei Ujazdowskiej wzdłuż Doliny Szwajcarskiej, na której to ulicy, z pierwszym powitaniem dni słoneczniejszych rozpocznie się ruch i gwar, stuk młotów, zgrzyt kielni i wznoszenie się ścian domów ozdobnych. Z uwagi, że Dolina, obok której nowa ulica przechodzić będzie, służyć ma zawsze za miejsce koncertów, postanowiono ją nazwać imieniem jakiegoś głośnego mistrza muzyki.

Dość już mamy Skoków i Przeskoków, Miłych, Dzielnych, Solnych i Smolnych, które są pustym dźwiękiem, nie mówią i niczego nie przypominają.

Smutną jest prawda, że śmierć dopiero przemawia do ludzi i każe im uczyć się hołdem tych, którzy częstokroć za życia albo zapomnieni, albo ze względną obojętnością traktowani byli, choćby prawdziwa iskra boża paliła się w ich duszach i śmierć jednego więcej listka wawrzynu do położonych już zasług nie dodała.

Smutnem to jest — dziwić się jednak temu nie można.

Mistrze poezyi, muzyki czy malarstwa mogą dawać najprzedniejsze rzeczy i wstrząsać niemi serca widzów i słuchaczy, ale dalecy są od tego hołdu, jaki kiedyś im oddadzą, gdy już obrachunek ze światem skończy a trumny wieko zamknie się nad nimi na zawsze. Dopóki żyją na świecie i kwiaty swych myśli, czy uczuć rzucają ludziom pod nogi — ludzie je chętnie biorą, zachwycają się barwą i wonią, a mając piękne, czekają jeszcze piękniejszych, zatrzymują się więc z ostatecznym sądem swoim, z ostatnim wyrazem swojego uznania.

Śmierć kończy wszystko.

Nie spodziewają się już niczego — oddaje się więc hołd pełnej, skończonej całości. Niestusne więc były zarzuty pism niektórych, że dopiero przedwczesny zgon Podkowińskiego, wywołał tak wielkie zajęcie się jego pracami; że, gdy żył, tak znaczącym nie cieszył się uznaniem. Podkowiński był ceniony, niedoceniony — nie powiemy. Zostawał przed nim szereg lat długich pracy, doskonalenia się, ze szczebla dążenie na coraz wyższe szczeble. Nie mogło więc być sądu ani skończonej oceny twórczości artysty. Przedwczesna śmierć malarza zmieniła wszystko. Widzimy co dał, nie przesadzamy już o tem: co dać by mógł jeszcze.

Napływ publiczności na Wystawę obrazów ś. p. Władysława, jest ogromny. W ciągu trzech pierwszych dni, z górą 3,000 osób zwiedziło Salon sztuk pięknych, tłumy zatrzymywały się szczególnie przed jednym z ostatnich a największych dzieł jego „Szaleńcem uniesionym“ który, jeżeli nie artystycznym wykonaniem to olbrzymią siłą fantazyi przykuwa widza do siebie. Pocięty obraz w chwili także jakiegoś uniesienia szaleńca, został do pierwotnego przyprowadzony stanu, dzięki p. Urbańskiemu, który zajął się tem dziełem zgasłego malarza. Oprócz „Marsza pogrzebowego“ i „Zmartwychwstania“ widzimy i inne obrazy zupełnie nieznanne ogółowi, jak: „Nocturn“, „Na Powązkach“ i „Spotkanie.“ Kraj malowideł znajdujący się szkice i drobne rysunki, które były ozdobą ilustrowanych pism naszych, i obrazy malowane w 17-ym roku życia artysty. Dochód za bilety wejścia jest przeznaczony dla matki malarza.

Na półkach księgarskich, w ostatnich czasach, pojawiła się u nas, dawno niewidziana książeczka, zawierająca znane, a zawsze czarujące niezrównane wdziękiem swojskości, poezye Teofila Lenartowicza. Jakże nam w duszy rzewnie zabrzmiała ta nuta: „Oj ta dana, oj dana, doło moja kochana!“ Młodzi czytelnicy może już nie dostrzegą tyle uroku, tyle zaczarowanego w niej wdzięku, co my, starsze pokolenie.

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

Zapach ten miał w sobie coś drażniącego; wydawał się Wicuni nieznośnym.

— To ona tu była, Bianca-Bianchi, — myślała z jakimś oburzeniem, — czego tu chciała? po co przyszła aż tutaj?... po co go zabrała ze sobą?... Bezwstydnal...

I znowu zakotłowały w jej głowie wszystkie podejrzenia, domysły, obawy, które w ostatnich dniach nieco już uspokoiła.

— A on jednak zabrał się z nią i poszedł!...

Tego mu wybaczyć nie mogła.

A jak się wykradał, jak mu śpieszno było; nie chciał jej dłużej zatrzymać u siebie, aby nie zdradzić jej bytności; myślał może, że nikt nie zauważy tej wizyty, nie spodziewał się, że wszystko się wyda.

— Ale cóż z tego?—mówiła sobie, — cóż mu powiem, gdy znowu powróci od niej?... przecież i tak nie rozmawiamy ze sobą.

Usiadła przy biurku; podparła głowę i zapatrzona w światło lampy, rozmyślała czas jakiś.

W uszach jej brzmiał ciągle ten tajemniczy, niewyraźny szep, szelest sukni jedwabnej, śmiech szyderczy, który przed chwilą słyszała z tego gabinetu.

— O czym oni rozmawiali?... co ona mu powie działa?... dlaczego on był tak zmieszany?...

Te pytania powracały uparcie w jej myślach i rozdrażniały ją coraz bardziej.

Zeby przynajmniej wiedziała, co jest między nimi właściwie, jak daleko ten stosunek zaszedł, czego więcej ma się obawiać?...

Załowała, że nie zarzuciła czegokolwiek na siebie i nie poszła za nimi; byłaby się dowiedziała czegoś więcej.

Zbudziła się w niej ta chęć pozyskania jakiego bądź dowodu, jakiej bądź pewności, która wydaje się zaniepokojonym sercom skutecznym środkiem przywrócenia sobie równowagi, zatryumfowania zupełnie nad wiarołomcą, nad krzywdzicielem ich praw, ich uczuć i zaufania.

— Jak mu pilno było, jak się śpieszył!—przyszła jej wśród tego do głowy refleksja, zbudzona widokiem kluczyków, na które jej oczy padły; — nawet biurka nie zdążył zamknąć.

Instynktownym ruchem sięgnęła do szuflady, by obrócić tkwiący w jej zamku kluczyk i ręka jej zatrzymała się nagle na nim, jakby to dotknięcie samo zrodziło w niej jakąś myśl, której dotąd nie miała nigdy.

Ciekawość kobiety zazdrosnej, ciekawość żony zaniebdywanej, oszukiwanej, trawionej podejrzeniami, rozbudzonej przed chwilą, odezwała się w niej z początku nieśmiało, ale rosła nieustannie.

Z ręką na kluczykach zastanawiała się, co zrobić.

Otworzyć i przeglądnąć biurko mężowskie, w którym może znajdowało się rozwiązanie tej tajemnicy do połowy odsłoniętej, czy dać pokój?

Przypadek sam podsuwał jej ten zamiar i nastroczał sposobność, ale wahała się z niej skorzystać.

Wydawało jej się to czemś nieszlachetnym, niewłaściwym, brzydkim, nagannym.

Walczyła ze sobą, ale pokusa koreciła ją, zachęcała, ośmielała, przyrzekała dać pewność, może uspokojenie, może raz na zawsze dobrą naukę, a może znalezienie dowodu, którymby przekonała męża, że kłamie i zwodzi ją.

Pragnęła tego ostatniego i obawiała się zarazem.

Nagle posłyszała za sobą jakiś szelest; drgnęła i szybko usunęła rękę, oblewając się gorącym rumieńcem, jakby schwytna na złym uczynku.

Wstydem płonęły jej policzki.

Odwrociła się i zobaczyła Nerona, który wszedł do pokoju, przystanął i niby zdziwionem okiem przypatrywał się swojej pani i zdawał się pytać:

— Co ona tu robi?...

Widok psa uspokoił ją znowu, ale zarazem nasuwał uwagę:

— A widzisz, spaliłabyś się ze wstydu, gdyby cię tak kto inny zastał przy otwartej szufladzie! cóżbyś odpowiedziała Waleremu, gdyby tak nagle stanął we drzwiach i zobaczył, że przeszukujesz jego biurko?... Nie śmiałabyś oczu podnieść na niego.

Jednak inne żony to robią bez skrupułu i nie uważają sobie za winę, za grzech podobne postępowanie.

Wstała i poszła zamknąć drzwi do salonu i do przedpokoju, aby się czuć pewniejszą.

Kluczyki połyskiwały w świetle lampy przy biurku i hipnotyzowały ją formalnie.

Nie mogła oczu od nich oderwać.

— Ostatecznie coś w tem jest złego, — przekładała sobie, — inne przeszukują mężów kieszenie, szperają w ich papierach, przejmują listy, szpiegują ich, aby się tylko prawdy dowiedzieć, gdy chodzi o spokój, o szczęście, o pewność...

Przystąpiła do biurka i drzącą ręką wysunęła szufladę, na poły zdecydowana; chciała tylko zaglądnąć, aby się upewnić, że podejrzanego nie w niej nie znajdzie, ale zgotowała sobie samej zasadzkę, która ją schwyła i pociągnęła, jak w przepaść.

Dostrzegła na samym wierzchu fotografię signory Bianki, tę samą, którą oglądała na wystawie przy placu teatralnym.

Zalotna i piękna Carmen zdawała się do niej uśmiechać ironicznie i wyzywająco z głębi mężowskiego biurka, jakgdyby mówiła:

— No i cóż?... jestem tutaj i co mi zrobisz?... wzięłam ci twego męża, pobawię się nim i odrzucę go, jak odrzuciłam tylu innych. „Wszak miłość to cygańskie dziecię, ani jej ufaj, ani wierz!“ — chciałaś się przekonać, co jest między nami?... odwróć moją fotografię, to się dowiesz. Przeczytaj dedykację, zobacz moje pismo, spojrzij na datę a z tego wyciągaj wnioski, jakie chcesz!... Dużo sobie z tego robie!...

Wzięła fotografię do ręki i odwróciła na drugą stronę.

Energicznym, rozchwianem, zamaszystem pismem stało na niej kilka słów po włosku: Ricordo di 7.III. i podpis, jakby urwany z pospiechu.

— Pamiątka z siódmego Marca!—szepnęła boleśnie dotknięta,—siódmego Marca!

Tego samego dnia, w którym obchodził rocznicę ślubu, dostawał fotografię z takim krótkim ale wymownym napisem.

Data na niej czerniła się, jak żywe szyderstwo.

Chciała napowrót wrzucić do szuflady portret pięknej włoski, gdy spojrzenie jej padło na całe pęki listów, bilecików, karteczek, z pomiędzy których wyzierały zeschnięte liście kamelii, pokruszone kwiaty, spłowiła jakaś wstążka i kawałek oddartej koronki.

Wysunęła całą szufladę i jakieś złe przecucie ścisnęło jej serce.

Widok tych świstków, kartek różnokolorowych, rupieci przykrytych dla nadania im pozorów niewinności i zasłonięcia przed ciekawem okiem teką na nuty, którą mu własną ręką wyszywała paciorkami na imienniny, przejął ją dreszczem.

Co one zawierały?... co one tu znaczyły w tem zachowaniu?... zkad się ich tyle nazbierało w tej szufladzie?

Wzięła pierwszy lepszy bilecik różowy i podniosła go do oczu.

Po przeczytaniu kilku słów, dech jej zapało w piersiach, fala krwi uderzyła do głowy, ręce jej zadygotały, mgła zasłaniała wzrok, nie wiedziała, co się z nią stało.

— „Trudno mi uwierzyć, że mnie pan kochasz, choć tak kusząco śpiewasz o miłości, — przeczytała — nie należę do łatwowiernych i potrzebuję dowodów... A jakież mi pan, mój Mistrzu, dać możesz?..“

— Co to jest?... kto to pisał?... do kogo ten list? — przemknęło jej w myślach, jak błyskawica zwiastująca burzę.

Spojrzała na podpis i dostrzegła tylko jedną jakąś literę.

W głowie jej się zakręciło; miała wrażenie, jakby ją obuchem kto uderzył i ogłuszył na długą chwilę.

Sięgnęła po drugi list, pisany na białym welinowym papierze ze złoconemi brzeżkami i znalazła na nim tylko te słowa:

— „Jedyny mój! tam, gdzie zawsze. Cześć będę z uścisnieniem, Twoja—Hala“.

Drżące jej ręce gorączkowo przebierać zaczęły w tem istnem archiwum i wyciągały raz po raz coś nowego, co było niespodzianem odkryciem a działało, jak cięcie ostrego noża w samo serce ogłuszonej, zdumionej, nieprzytomnej prawie Wicuni.

Nogi się pod nią załamały.

Padła na fotel i z oczyma wlepionymi w tajemniczą szufladę, przypatrywała się ze strachem niemal i ciekawością zarazem wszystkiemu, co się tam mieściło.

Wszystkiego mogła się spodziewać, ale takiego odkrycia — nigdy.

Musiła się w tem wpięty oswoić, zebrać zmysły, przekonać się, że nie śni na jawie, że to rzeczywistość, że ten papier szeleszczący w jej palcach nie jest tylko złudzeniem jej dotyku, że te pokruszone kwiatki, te wstążki, te fotografie kobiet, wśród których poznawała dobrze znajome sobie twarze, nie są jej przywidzeniem!..

Jakąż okropną zgotował jej los niespodziankę; było jej tak, jak gdyby ktoś brutalną ręką zerwał jej nagle zasłonę z oczu i postawił nad brzegiem przepaści.

Czemże w obec tego wydawały się jej te smutki i rozezarowania, które miewała dotąd za tak wielkie!.. czemże była ta jedna Bianca-Bianchi w obec tych wszystkich innych, które ją poprzedziły?—tylko nowym ogniwem w tym łańcuchu zdrady, tylko nowym rozdziałem w tej księdze przewrotności mężkiej, tylko jedną fotografią pamiątkową więcej i jednym więcej liścikiem w zbiorze zdobywey, w muzeum Don Juana!..

A ona tak mu wierzyła, tak ślepo ufała, tak go kochała dotąd z zamkniętymi oczyma i widziała go zawsze tylko takim, jakiego sobie w marzeniach swoich wyidealizowała.

I po co jej los tak okropnie i bezlitośnie teraz rozdierał tę zasłonę, rozwiewał od razu całą uludę, pokazywał nagą prawdę?... czy dla tego, aby ukarać jej łatwowność, jej zaślepienie, jej naiwność niemal dziecięcą, z jaką oddała wszystko, co miała najdroższego i najświętszego w ręce tak niegodne i tak nieuczciwe?..

Ależ to straszne, to cios, którego znieść niepodobna, po którym oprzytomnieć, powstać, zdobyć się jeszcze na jakąś siłę i wolę nie można już nigdy więcej!..

— Dlaczego ja nie umieram?... po co ja żyję jeszcze?... czemu to się nie kończy wszystko?—pytała się i siedziała, jak odrętwiona bez uczucia, bez ruchu, bez woli i dziwiła się sama sobie, że znosi to, że nie padła trupem przy tem samym biurku, które jak puszka Pandory otworzyło się nagle przed nią.

Miała przecież poczucie świadomości tego, co się z nią działo, wiedziała, że była najhaniebniej zdradzaną nie od wczoraj dopiero, ale przez cały czas niemal ich pożycia, że nie uszanowano w niej niczego, co się kobiecie i żonie należy, wyszukiwano jej dobrą wiarę, jej zaufanie, jej niedoświadczenie, nagrawano się może jeszcze poza jej plecami, krzywdząc ją tak niewinnie, — wiedziała to wszystko i nie umarła w chwili odkrycia takiej zdrady.

— Co to się znaczy?... może ja zmysły straciłam?... może ja w letarg wpadłam? — badała się z kolei, — dlaczego ja nie płaczę, nie tarzam się w bólu, nie mdleję, jak wtenczas, gdym po raz pierwszy o nim zwątpiła?..

Zadziwił ją ten jakiś straszny, rozpaczliwy, niepojęty spokój, który nią ogarnął po pierwszej chwili bólu, co zaszarpał jej serce.

Zamiast poddać się i upaść bezprzytomnie pod siłą wrażenia tego, które na nią spadło, jak lawina, pozostał jej ze świadomością całej sytuacji jakiś krytycyzm w rozważaniu samej siebie i swojego stanu.

Nie pojmowała własnej natury i własnego serca. Jak człowiek ciężko ranny, zanim omdleje z bólu, przygląda się swojej ranie i bada ją sam z tą jakąś

ciekawością i zdziwieniem, jakby nie wierzył nie-
szczęściu, które go spotkało, tak ona rozpatrywała
się we własnym sercu i czekała, kiedy białe prze-
stanie.

Wreszcie brała do ręki jeden list po drugim
i z oczyma suchymi, rozszerzoną źrenicą odczyty-
wać zaczęła tajną korespondencję męża, która jak
akt oskarżenia odsłaniała przed nią wszystkie
szczegóły, wszystkie fakta popełnianych przez nie-
go przestępstw.

Czytała te wynurzenia miłosne, czułe, odpowie-
dzi na zapytania, zakłęcia i prośby, wyrzuty i skar-
gi, pochlebstwa i zachwyty innych kobiet, które jak
ona ulegały dłużej lub krócej jego urokowi—a po-
tem kończyły tak samo zawodem i rozczarowa-
niem.

Znajdowała wśród tych rywalek swoich towa-
rzyski niedoli i to ją poniekąd z nimi przejedny-
wało.

Były pomiędzy nimi i takie, których listy szcze-
rością uczucia teńnęły; te rozpiszywały się długo,
rozbiegając swój stosunek do człowieka, który pier-
wszy zachwał ich równowagę moralną, wykoleił
z drogi obowiązku.

Robiły jeszcze i sobie wyrzuty, poczuwały się do
winy, rozpaczwały nawet, ale w zakończeniu pozostawiały
mu nadal nadzieję i wyznaczały nową schadz-
kę lub dopraszały się o jego odwiedzinę.

Po charakterze jednak pisma poznawała niektóre
autorki, choć przez ostrożność nie kładły u spodu
swojego nazwiska, tylko imię albo pierwsze litery.
Znała je dobrze, widywała, przyjmowała nawet
u siebie; podawały jej rękę i bałamucąc męża, na-
zywały się przyjaciółkami żony.

Potem najczęściej zrywały swoje towarzyskie sto-
sunki bez widocznego powodu i odwracały się od
niej, jakgdyby były na nią urażone.

Teraz zaczynała to wszystko rozumieć, rozjaśnia-
ło się jej wiele rzeczy, przedstawiało w innym zu-
pełnie świetle.

— I ja tego nie uważałam!—wyrzucała sobie,—
ja się nie poznałam na tem!..

Najzwyczajniejsze, najbanalniejsze niby pozory po-
krywały nieraz tajemnice, których nie przeczuwała
wówczas i nie podejrzewała nawet, a które teraz
odsłaniały jej całą przewrotność i komedję kobiet,
do spółki z jej mężem nadużywających jej zaufania.

Pomimo nieładu, jaki panował w szufladzie, ów
zbiór korespondencji z lat kilku układał się niby
geologiczne warstwy w pewne okresy, dające się
odróżnić od siebie.

Poznać można było, jak narastały, rozszerzały się
wraz z biegiem czasu,—ale początek ich niestety
sięgał do pierwszego roku po ślubie.

— Już wtedy, już wtedy zdradzał! — jęknęła
z burzeniem i jakby z pogardą.

Nie, temu uwierzyć jej było najtrudniej.

Wszystkie zatem, wszystkie illuzje chciał jej los
odebrać i potępić go bez litości w jej oczach?..

W niektórych listach znajdowała wzmianki o so-
bie i te jej sprawiały dziwne uczucie; zdawało jej
się, że ubliżają jej owe uwagi i odnośniki, chociaż
nie złego w sobie nie zawierały.

Przeciwnie, wyrażano się o niej nawet z uzna-
niem i pochwałami parę razy, ale mimo to czuła się
dotkniętą w swojej godności, gdy przeczytała w dłu-
gim liście jakiejś artystki, rozprawiającej dużo
o swoim talencie i o celach wzniosłych, do których
osiągnięcia Walery jeden może jej dopomóc:

— „Wiem, że masz pan dobrą i śliczną żonę,
ale czy ona cię tak rozumie, tak pojmuje, jak ja?...
o nie!.. nasze dusze są siostrzane, jedna wnika
w drugą i tworzy tę harmonię, która jest rozkoszą
prawdziwą.

„Przez ciebie ja mogę stanąć wysoko tak, jak
Ty przezemnie mógłbyś być wielkim, sławnym,
podziwianym. O czemż nie możemy należeć do
siebie!“..

List był trzymany w tonie przesadnym, pełen ba-
nalnych frazesów i sztucznych wykrzykników; nie
brakło w nim i błędów ortograficznych.

Odkładała przeczytaną korespondencję na bok
i coraz pobieżniej przeglądała już inne listy; po-
wtarzały się one nie tylko co do treści, ale i co do
formy, nawet co do pojedynczych wyrażań.

Miała dość tego, czego się dotąd dowiedziała.

Powiązane w paczki leżały na samym spodzie
podobne pamiątki, widocznie z czasów kawalerskich
jeszcze Walerego, włoskie i francuskie bileciki i li-
sty z fotografiami aktorek, śpiewaczek, dam z to-
warzystwa, które znać musiał w Medyolanie i Pa-
ryżu.

Nie rozwiązywała już tych dokumentów dawniej-
szej epoki, która ją mniej obchodziła.

Czuła się znudzona tem wyężeniem uwagi i stop-
niowaniem przykrych wrażeń.

Miała uczucie, jak gdyby przepędzała ją jakaś
złośliwa zmora bez wypoczynku po ostrych kamie-
niach z góry na dół i z dołu do góry, po samych
wertepach i przepaściach.

— Muszę odpocząć... muszę przerwać... już nie-
chcę nic więcej wiedzieć!.. już dość!..—mówiła sobie
a machinalnie, mimowoli brała do ręki nowy świstek,
rozwijając go i zaczynała odczytywać.

Często zniezione myśli urywały się jej, odbie-
gały od właściwego przedmiotu, a wzrok utkwiony
w pismo mniej czytelne przestawał rozpoznawać
litery.

Zatraciła zupełnie rachubę czasu.

Nie wiedziała, jak długo już przesiadziała nad tą
fatalną szufladą; zapomniiała o poprzedniej obawie,
aby ją kto nie zeszedł przy tej czynności.

Było jej to teraz całkiem obojętnem.

Mógłby był wejść sam Walery a nie byłaby się
zmieszała i spuściła oczu przed nim.

Z każdą chwilą przybywało jej jakby doświadcze-
nia, wieku, powagi i godności; dojrzywała w tym
bolesnym zawodzie i cierpieniu.

I zdawało jej się, że urasta we własnym przekonaniu
tem więcej, im bardziej on malał i nikczemniał
w jej oczach.

Te wszystkie listy, które jak trofea swoje chował
z manją kolekcjonisty przez zarozumiałość czy
lekkomyślność, odsłoniły nareszcie przed nią jego
rzeczywistą wartość.

Nie łudziła się więcej, nie chciała się łudzić.

Jedna myśl teraz dolegała jej najbardziej:

— I ja takiemu człowiekowi oddałam moją rękę?
i ja go pokochałam?.. i to jest ojciec moich
dzieci?..

Po raz pierwszy łzy jej w suchych dotąd, za-
czernionych oczach stanęły.

Matka odczuła swoją krzywdę w tej chwili głę-
biej od żony.

Przycisnęła dłonią powieki rozpalone i rozgnio-
tła łzy zebrane pod niemi.

— Cóż teraz będzie?.. co dalej? — szepnęła głę-
chym, bezdźwięcznym, zrezygnowanym głosem.

Zacięła usta i wpatrywała się w stos listów,
biletów, karteczek i fotografii, które jako corpus
delicti leżały przed nią.

Była bladą i wyczerpaną, ale spokojną na
pozor.

— Co zrobić?..—powtarzała, powstrzymując roz-
pierchające się myśli i siląc się zachować równo-
wagę, która jej była tak potrzebną do powzięcia jakiegoś
postanowienia.

Z dalszych pokoi dochodziły ją głosy bawiących
się dzieci; chłopcy korzystając z nieobecności matki,
rozbrzykali się i wesoło skakali po dzieciurniku pod
dozorem służącej, która ich ostrzegała nadaremnie
by byli cicho, bo mamusia położyła się w pokoju
ojejulka i pewnie przespać się chce trochę.

— Ee, gdzieby mama teraz spała!— odpowiadał
Kazio i hasał dalej z Muńciem dokoła stołu, przy-
śpiewując swoim dziecięcym dyszkantem sobie
i bratu do tańca.

Nagle obaj zobaczyli w drzwiach szybko wcho-
dzącą matkę, którą w pierwszej chwili poznać nie
mogli tak im się wydała zmienioną, bladą, jakby
postarzałą.

Oczy miała zapadnięte głęboko, ale błyszczące,
usta zaciśnięte, brwi zehmurzone, grzywkę nad
czołem zwiechrzoną.

— Mamusiu, to my tylko tak trochę skaczemy,
bo Munio chce się bawić w ball — zaczął się uspra-
wiedliwiać Kazio, uprzedzając spodziewaną wy-
mówkę matki, ale Wicunia zdawała się nie słyszeć
tego wcale.

Myśli jej były czem innym zajęte.

Poszła do szafy i zaczęła wyjmować z niej szyb-
ko płaszczyki dzieci i swoje okrycie zimowe.

— Niech Maryanna ubierze Polę,—poleciała słu-
żącej,—tylko trzeba ją utulić ciepło, bo na dworze
dziś mgła.

Służąca spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Alboż dziecko gdzie wyjdzie jeszcze?—spyta-
ła,—przecież już noc, proszę pani.

Nie odpowiedziała jej wcale.

Zabrała się z jakimś gorączkowym pospiechem
do nakładania płaszczyków na Kazia i Munia, zato-
piona ciągle w swoich myślach.

Szybkie jej ruchy miały jednak w sobie coś au-
tomatycznego.

— Niech Maryanna każe Józsi sprowadzić doroż-
kę,—odezwała się znowu po chwili,—prędko!..

Wdziewała tak szybko okrycie, że aż w rękawie
coś pękło; nie dała go sobie nawet potrzymać, byle
czasu nie tracić.

— Gdzie moja portmonetka? — zwróciła się do
dzieci,—ach prawda, zkądże wy możecie wiedzieć!
Stanęła przy łóżeczku Poli i pomagała ją ubie-
rać.

Spieszyła się jak na kolej.

Dzieciaki zadziwione wodziły za nią oczyma i py-
tały:

— My pojedziemy mamę?... dorożką pojedzie-
my?... na prawdę pojedziemy?... Mamusiu!.. czemu
mamusia się tak spieszy?

W dziesięć minut później znosiła, owiniętą dużą
chustką i opakowaną jak do drogi Polę na własnych
rękach ze schodów, a za nią służąca sprowadzała
Kazia i Munia.

W gabinecie Walerego wysunięta szuflada i stos
listów pozostawionych na biurku miał mu wyjaśnić
nieobecność żony i dzieci po powrocie od Signory
Bianki.

Poza tem ani słówka wyrzutu, ani słowa poże-
gnania...

Nie zapomniała tego, jak przedrzeźniał swojego
czasu żonę, która porzucając męża pozostawiała list
dla wybadania, jakie na nim zrobi wrażenie.

Wolała jego własnej domyślności zaufać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii

Mamy tu zimę niebywałą. Śniegi zwłaszcza
w Szkocji są takie, że komunikacja nieraz przer-
waną bywa, a co jest nieszczęśliwych wypadków na
morzu, obliczyć trudno i było by tego litania długa,
bo panują tu takie zawieje, że w północnej Walli
wieher wyrwał drzewa z korzeniami. O wielu
statkach, które wypłynęły na Atlantyk, nie można
powziąć wiadomości żadnej, a w końcu zeszłego
miesiąca nawiedziła Londyn burza wyjątkowa, do
fenomenów zaliczyć się dająca, bo przed południem
słońce zaćmiło się nagle tak, jak gdyby to była
północ i stał się popłoch niesłychany, zwłaszcza że
towarzyszyły temu błyskawice i były pioruny, jak-
gdyby było to wśród upalnych dni lata; poczem
spadł grad taki, że w parę minut ulice stały się
tak puste, jak rzadko kiedy w nocy, a dodać trzeba
że naraz wybuchnął pożar, bo piorun uderzył w je-
den z kościołów, który jak fajerwerk spłonął przy
silnym wichrze, co sprowadzić musiało razem po-
płoch ogromny wśród ulic tak ludnego miasta.
Ostatni spis wykazał tu 4.250.000 ludności, a nie-
ustanny przyrost jest ogromny, bo w przeciągu lat
trzydziestu przybyła stolicy Anglii jedna trzecia
część tej ludności; dzienniki dowodzą nawet, że
obecnie mieści się tu przeszło milion mieszkańców.

Muszą się też wznosić tu kosztem dobroczynności
publicznej i przytulki dla biedaków, których jest
niemało. Gmina Londynu utrzymuje ich dwadzie-
ścia dziewięć; w obecnej chwili znajduje się tam
70.000 osób, niełatwą też jest rzeczą pomieścić ich
ilość taką, zwłaszcza że angielska dobroczynność pu-
bliczna bynajmniej skąpa nie jest i chyba nigdzie nie
jest tak pomocną jak tu biedakom. Domy przytułków
gminnych, które przecież są zarazem domami zarob-
kowymi, urządzone są wzorowo, rozumnie. City, to

jest stare miasto, które się mieści na obszarze 649 akrów gruntu i ma 38,345 mieszkańców, płacących podatków gminnych 4.299.790 funtów szter., utrzymuje przytułek, w którym przy obliczeniu w końcu ubiegłego roku, mieściło się 1.900 osób, a rzecz to jest wzruszająca, jak traktowaną tu bywa ta nędza. W dzień Bożego Narodzenia obiad tych biedaków, składał się z rozbeefu, więcej niż pół funta na osobę, z dodatkiem kartofli, kapusty brukselskiej i półtora funta leguminy: plumpuddingu, przy czem mężczyźni otrzymali po dwa łyty tytoniu, kobiety tyleż herbaty i cukru, dzieci jabłka i pomarańcze. A jak olbrzymim był ów plumpudding! Wyszło na niego dwa centnary pięknej mąki pszennej, 480 jaj, 4 centnary rodzenków, 50 migdałów słodkich i około sto funtów rozmaitych korzeni. Rozdzielony na pięćset części, z których każda tworzyła całość, polany był dwudziestu kwartami silnej wódki: „brandy“ która została zapalona, uczta ta biedaków bynajmniej nie była uboga, a dodać trzeba że odbyła się na tę skalę we wszystkich dobroczynnych przytułkach Londynu.

I tak mniej więcej dzieje się na całym obszarze Anglii, w szpitalach nawet, ale nie samym chlebem żywią się tu ludzie; w bibliotece Muzeum Brytańskiego ludność londyńska korzystała w ciągu 1894 r. z 200,000 dzieł, które czytać mogła w czytelnich publicznych, a 16.000 osób uczęszczało do sali specjalnie poświęconej dziennikom. W 1893 r. sale książek liczyły 194.000 czytelników, sale dzienników 15.000, zatem przyrost czytających powiększył się znacznie, a obok tego wypożyczono na miasto 1.396 tomów, biblioteki zaś przybyło 45.942 dzieł i 4.944 partycy muzycznych, 175.200 czasopism angielskich, a 20.913 zagranicznych. Muzeum Brytańskie posiada razem dwa miliony dzieł i ktoś zmierzwiwszy półki biblioteki wykazał, że długość ich razem wzięta, przedstawiała by trzydzieści mil angielskich. Za podstawę też potęgi swojej uważa to Anglia, aby ludność jej była oświeconą nie tylko u wierchołków społecznych, choć od tych wymaga już wiedzy jako obowiązku obywatelskiego.

Jedną z obecnych tu kwestyi publicznych, która bardzo zajmuje umysły, jest pragnienie, aby uniwersytet angielski rozszerzył ramy swoje i objął całkowity program nauk, jakiego brakuje mu teraz. Obecny minister oświecenia, lord Rosebury, przyjmował właśnie w tym czasie deputacją tegoż uniwersytetu, wyrażając to żądanie, które niewątpliwie uwzględnieniem będzie, zwłaszcza że cały oświecony ogół narodu je popiera, a królowa Wiktorya przychyliła się doń także. „Nie nie może stać w miejscu, co tylko ma siłę żywotności w sobie,“ rzekła ta pani, skoro sprawa ta doszła jej wiedzy.

Do strat Anglii zaliczyć trzeba dwa zgony mężów nauki, profesorów na wszechnicy w Cambridge. Jeden, Artur Seley, profesor matematyki, prezes Towarzystwa matematycznego, należał do ludzi najzasłużeńszych w Anglii nauce; londyńskie Royal Society obdarzyło go za prace w zakresie wyższej matematyki medalem a dzieła jego także w tym kierunku, tomów dziesięć, wychodzą obecnie nakładem uniwersytetu w Cambridge. John Seley, profesor historyi współczesnej, był tam następcą Karola Kingsley, dziejopisarza, autora dzieła „Wojna krymska“ Seley zostawił też po sobie rzeczy bardzo cenne, a do oznak uznania zaliczyć trzeba order Gwiazdy S-go Michała i S-go Jerzego z tytułem rycerza Zjednoczonego królestwa.

Zmarł tu także człowiek niepospolity, lord Randolph Churchill, geolog, podróżnik, który odbył niedgdy wyprawę do Afryki południowej z celem odkrycia tam przypuszczalnych pokładów złota. Opisy przygód jego podróży, opisy zwłaszcza przyrody tej krainy, najmniej przystępnej dla podróżników europejskich, a które przesyłał do londyńskiego czasopisma „Daily Graphic,“ dały mu miejsce wyższe w podróżniczej literaturze Anglii, jak tego dowodzi już honorarium otrzymywane, 200 funtów szter., za korespondencją każdą.

Do obrzędów uświęconych tradycją wiekową, a którą Anglia uważa w kierunkach wszelkich za podwalinę narodowości, w czem się bynajmniej nie myli, należy coroczna rewizya gmachu parlamentarnego w dzień pierwszego zebrania posłów, której ulega nie tylko pałac westminsterski, ale i jego podziemia. Jestto pozostałość przedwiekowej tradycyi, wspomnienie prochowego spisku Gwid-

na Fawkes i rzecz odbywa się nie odmiennie porankiem pod przewodnictwem szambelana dworu królewskiego, dziesięciu żołnierzy ze straży pałaców królewskich, oraz czterech woźnych z Westminsteru, niosących zapalone latarnie przed orszakiem, który przeszedłszy uroczyście podziemia, powraca do głównej Izby Gmin, aby wygłosić uroczyście, że niebezpieczeństwo żadne nie grozi dostojnemu zgromadzeniu. Niejednokrotnie dzienniki, zwłaszcza zowiąca się postępowymi, żartowały z tej procesyi bez celu, ale jest to właśnie siłą Anglii, że przechowuje wspomnienia stare. Sesa rozpoczyna się zawsze od modlitwy, co powtarza się codziennie, a po modlitwie dnia pierwszego występuje przed zgromadzenie urzędnik korony w starożytnym, przedwiekowym stroju: w peruce, ze szpadą w rękę i ogłasza, iż królowa wzywa wierne swe gminy, aby radziły nad dobrem państwa. W izbie lordów, wybitej karmazynową materją, zabiera miejsce stan rycerski, co oznacza szlachę od baroneta do księcia; biskupi mają też tutaj miejsce swoje a do szeregowości, jakie tylko w Anglii spotkać można, a której jest to właśnie siłą, że posiada stare tradycje, które przechowuje jak świętość, zalicza się olbrzymi wór wełny, na którym zasiada lord kanclerz. Królewska kommissya zastępuje osobę monarchini, która przybywa dopiero z uderzeniem godziny 2-jej; kommissya ta składa się z sześciu lordów z kanclerzem na czele, wszyscy w płaszczach średniowiecznej mody, w perukach na głowie, wstępują na pierwszy stopień tronu, a wtedy wielki kanclerz odczytuje orędzie i woła w starożytnym dyalekcie anglosaksońskim: „Królowa tego chce!“

Siła tradycyi jest podwaliną społeczeństwa angielskiego, które natychmiast niepokoi się a nawet występując z protestem, skoro tylko naruszonem zostaje to, co za moralne podstawy swoje uważa. Angielka uchodzi na stałym łądzie za emancypowaną, ponieważ używa pewnej swobody działania, jakiej nie posiada niemka naprzykład, ale kobieta tutejsza nie narusza mimo to niczego, co jest zasadniczym gruntem kobiecości, bo przeciwko temu, podnoszą się tu coraz głośniejsze głosy, tak mężczyźni jak i kobiety. Dowód tego okazał się właśnie gdy zły jakiś podmach wytworzył tak zwaną nową kobietę: *New Woman*, która żąda przystępu do parlamentu na zasadzie, że kobieta jest równie jak mężczyzna obywatelką swego kraju, że jego dobra—jego postępu pragnie. Nie zaprzeczając jej tych praw, które są zarazem obowiązkiem, odpowiadają jej tu, że podział pracy istnieje od wieków, że istnieje musi po wszystkie czasy ludzkości, że niemniej kobieta działać może odpowiednio nie tylko w zamkniętej przestrzeni rodzinnego domu, bo bardzo szerokie pole pracy społecznej przedstawia jej filantropia.

Wykazano tu nawet dowodnie, że dobroczynność z której Anglia bezspornie chlubić się może, bo jest tu rozwinięta szerzej niż we wszystkich innych krajach Europy, jest jej dziełem — kobiety samotnej, starej panny. Jest ona siłą czynną we wszystkich instytucjach dobroczynnych tak swego rodzinnego kraju, jak i w koloniach, gdzie ona przeważnie je zaprowadza, co ma nawet znaczenie polityczne, bo w ten to sposób ludność tubylców zbliża się do kolonizatorów i zadziergują się węzły życzliwości wzajemnej. Angielka zatem działa nawet w zakresie polityki, jakkolwiek w przestrzeni zamkniętej domu rodzinnego i w filantropii, której znaczenie może być wielkiem, jeżeli tylko rozumnie skierowaną będzie, i dla tego w Anglii starają się zorganizować ją przez instytucje odpowiednie. Nie dość tu jest dać grosz jakiś, ale należy dać go dobrze i gdy tak nie jest—gdy się rozrzucą obol jałmużny na różne strony pod porywem przemijającego wzruszenia, nie uważa się tego tutaj za cnotę dobroczynności, którą ogół tutejszy ceni bardzo wysoko, jak to wykazuje obchód uroczysty setnej rocznicy przyjsca na świat wielkiego filantropa amerykańskiego, którego prochy spoczywają już w mogile od lat dwudziestu kilku, a przecież nie zapomniano tu jego zasług dla ludzkości.

Jerzy Peabody, urodzony w Bostonie, przebywał przecież w Anglii lata długie i spełniał tu wielkie dzieła dobroczynności, które umiał i chciał wykonywać tak, że nigdy zapomnianymi nie będą. Wglądając niepowierzchniowo w życie pracującego ludu angielskiego, przekonał się, że praca rzemieś-

nika nawet zdatnego i najbardziej pracowitego, rzadko kiedy i to w warunkach wyjątkowych pozwoli mu zebrać na starość grosz taki, aby życie nie było pełnem braków i jak ewangelicznymi bogaczem dobry dał z własnej szkatuły sumę ogromną 500,000 funt. szter. na przytulki rzemieślnicze, a jakkolwiek w Anglii osoby prywatne nierzadko wnoszą zakłady dobroczynności publicznej, dar ten ogromny wywarł wielkie wrażenie. Królowa Wiktorya nadała zacnemu filantropowi godność baroneta i obdarzyła go wielkim krzyżem Orderu Łaźni, który jest w Anglii najwyższym ze wszystkich takich oznak, ale Peabody przyjąć go nie chciał i prosił tylko o własnoręczny list królowej, który pragnął zachować na pamiątkę. Królowa napisała list i przesała mu swój portret, który Peabody do końca życia wienieczył zawsze świeżą gałązką wawrzynu. Śmierć zabrała go w 1869 r. w Londynie, ale choć przeżył tu lat życia tyle, tęsknota do rodzinnego kraju ożwała się w godzinie ostatniej, budząc pragnienie aby prochy jego spoczęły w ziemi ojczyznej. Gdy śmierć zamknęła mu już oczy, okręt rządowej marynarki „Monarcha“, zawiózł jego ciało do ziemi ojczyznej. Obliczono tu, że w przeciągu życia dał na dzieła dobroczynne 1,500,000 funt. szter., co przenosi dziesięć milionów rubli.

Bardzo tu poruszyło opinią wytworzenie się ligi przeciwko grze hazardowej. Liga wystąpiła zaraz na wstępie przed sądy z żądaniem, aby zakłady przy wyścigach zostały pociągnięte do tej kategorii, co w gruncie rzeczy jest sprawiedliwym, ale zabawa to zbyt zakorzeniona już w Anglii, aby łatwo usunąć się pozwoliła i żądanie Ligi odrzuconem też zostało przez sądy, ale anglik niełatwo odstępuje od tego, co raz zamierzył, bo zwykle namyśla się poważnie zanim działać zacznie i zwrócono się do zakładów, jakie przy wyścigach bywają czynione, a co stanowi kwestyę niemałego znaczenia. Jeżeli sądy orzekną, iż tak jest, jak wniosek rzecz przedstawia, wyścigi utracą bardzo wiele na popularności swojej, co bynajmniej nie powstrzyma namiętności anglików do zakładu, bo hazard jest jednym z motorów ruchu tutaj, trzeba przecież dodać, że w pewnych sferach tylko—w sferach arystokracji, bo anglik żaden, czy bogaty, czy ubogi, nie może wytrzymać w próżnowaniu leniwem i jeżeli nie ma przed sobą zadań pracy na chleb, na utrzymanie, wyszukuje jej sobie uparcie, odpowiednio do skłonności i pożądań swoich, bo potrzeba mu celu absorbującego tę jego żywotność, która mu nie pozwala gnuśnieć bez zajęcia jakiegos.

Owoce tej żywotności narodu są kolonie, które Anglia posiada w różnych stronach świata. Kolonia Przyładku Dobrej Nadziei w Afryce rozwija się bardzo szczęśliwie; pierwszego ministra tej kolonii, Cecila Rhodes, wielce energicznego człowieka, uczyniła właśnie królowa członkiem rady swej przybocznej i siła Anglii leży też w tem, że mimo arystokratycznego układu państwowego zdolność i zasługa prym tu biorą i w tym samym czasie otrzymało godność baronetów dwóch ludzi nauki, Dr. Russel Reynolds, prezes akademii lekarskiej i John Erik Erichson, były prezes królewskiej akademii chirurgii a lord Cromer, także też człowiek o sile własnej zasługi do sfer arystokratycznych wyniesiony, bo jeszcze kilka lat temu był poprostu Mr Baring, otrzymał wielką wstęgę komandora orderu Łaźni; pierwszy stopień tego wysokiego orderu, przyznano Wilianowi Gernet, pierwszemu kustoszowi druków w Muzeum Brytańskim, Baronetem został również Jerzy Newnes; niedawno, bo nie całe piętnaście lat temu był to bardzo skromny, bo bardzo niezamożny, ubogi nawet komiwojażer; założył najpierw tygodnik dla tych warstw czytelników najszerzych—warstw średnich, tani bardzo, bo były to głównie przedruki, umiejętnie dobierane, poszczęściło mu się przecież tak, że zrobił majątek, wszedł do parlamentu, a wtedy ambicyja jego wzięła lot górnieszy. Założył cztery lata temu miesięcznik doskonale redagowany, z pięknymi ilustracyami „Strand Magazine“, a kierunek, dobór pisarzy, jest tu taki, że obecnie rozechodzi się tego pisma 600,000 egzemplarzy i ani wątpić, że Newnes stanie się magnatem, zwłaszcza że ręk nie zakłada, że praca i powodzenie dodaje mu energii i właśnie w tym czasie przybrał sobie jedno jeszcze wydawnictwo „Musical Magazine“ do którego współpracowników należy Paderewski.

Na zakończenie obrazu tutejszego ruchu życia, tutejszych postępów we wszelkich kierunkach dodam, że może niedługo będziemy mogli rozmawiać się z wami przez telefon, bo odbyte tu niedawno próby takiego komunikowania się przez morze między wybrzeżem angielskim a belgijskim powiodły się nadspodziewanie. Nastąpiły potem próby inne jeszcze; telefonowano ze stacyi Farnes oddalonej o piętnaście kilometrów od Północnego morza ze skutkiem najpomyślniejszym, użyto do tych doświadczeń aparatów najnowszego systemu, za przewodników służyły linie telegraficzne, łączące port Dover z Belgią, ale to rzecz dopiero w kolebce, potrzebująca badań i doświadczeń, bo późniejsze próby między Bruksellą a portem Dover źle wyszły i był to jedynie szum głosu, nie oddający dźwięków tak, aby wyrazy rozpoznać było można. Ale trzeba tu tylko chwili cierpliwości, w obec tego, co ludzkość zdobyła już sobie, możemy wierzyć w postęp—było tylko nie ograniczył się na zdobyciach pozytywnych—aby ogarniał i duchy.

Henryk.

Na cmentarzu.

Piękny, ciepły dzień jesienny. Słońce łagodnymi promieniami pieści kwiaty i drzewa, strojąc je świetnymi barwy. Spokój w naturze zupełny.

I w schronieniu umarłych cisza niczem nie zmącona panuje. Po przez zielone warkocze brzoź płaczących, słońce muska łagodnie blade główki nieśmiertelników i zielone bluszczu gałązki.

Czerwone korale głogu i kaliny, osnuła srebrna nić babiego lata, wdzięczne astry, strojne w tęczowe barwy, kołyszą wysmukłe łodygi.

Wysokie drzew wierzchołki, obsiadły roje wron i kawek, wodząc tęskne rozmowy, nie wiadomo o czym?... Pewnie o tych, którzy tu śpią snem nieprzespanym, obojętni na wszystko co zostawili za sobą.

Może to i lepiej, że snu ich nie miesza żaden odgłos ziemskiego życia, serce nie targa widok rozpaczliwych, którzy im najdroższymi byli, lub też najboleśniejszy z zawodów—niewiara w trwałość ich żalu.

Złoczone kraty grobowców i skromne mogiły biedaków, oplótl zwojami swymi bluszcz zielony, wierny przyjaciel grobów. Snadź mu tu dobrze, bo krzewi się bujnie i szybko. Szary ptaszek cmentarny, wijący gniazdko swoje wśród umarłych, pyta go nieraz ciekawie: o czym tak gwarzą zielone jego listeczki?..

Wspaniały grobowiec ściąga uwagę przechodniów. Uwielbiana młoda i piękna spoczywa tu kobieta.

Z pierwszym uśmiechem dzieci, pożegnała świat, zaledwie skosztowawszy upajającej czary życia.

Napis na nagrobku świadczy o nieutulonym żalu męża. Zielony bluszcz widział też niejednokrotnie, jak szalejąc z bólu, tłuk głowę o marmur grobowca.

Rok upłynął... powiedły kwiaty, bujny chwast z bluszczem rozrósł się swobodnie... Nikt tu nie przychodził więcej.

Słodką postać anioła o skrzydłach białych stoi na kamiennym podmurowaniu, wieńcem róż opleciona. Osiemnastoletnia, piękna jak kwiat dziewczyna, spoczywa tu snem wiecznym. Sierotą była. Miłość matki, pieczętowała ojca, uśmiechy rodzeństwa, zastąpiło jej jedno gorące uczucie. Kochała i kochana była. Krótko cieszyła się miłością swoją; w wonny wieczór czerwcowy, złożyli ją w chłodnej ziemi.

Całe pęki róż białych zasłaly mogiłę, a wśród nich przewijał się skromny bluszcz. I widział on nieraz jak w letnie wieczory, srebrny promień księżycy, ślizgał się po marmurowej twarzy anioła i łagodnie pieścił, pochyloną u stóp grobowca głowę mężczyzny.

Widział, jak ramiona młodzieńca obejmowały zimny głaz, jak z oczu błękitnych spadały gorące krople... słyszał szept cichy, opowiadający ukochanej jak ciężko mu żyć bez niej...

Przeszło lat parę... Piękny dzień czerwcowy zbliżał się do końca. Blaski purpurowe zachodzącego słońca, potokiem światła oblały mogiłę i na twarz anioła krwawy odblask rzuciły. Obok grobowca młodej dziewczyny, zatrzymał się jakiś orszak pogrzebowy.

Z tłumu wysunął się młody mężczyzna, z troskliwością torując drogę towarzyszącej mu kobiecie.

Wzrok jego bezwiednie zatrzymał się na kamiennej postaci anioła. Czarne oczy młodej kobiety pobiegły za nim.

„Odeszłaś od nas. O biały aniele
„Niech sen ten wieczny, słodko cię utuli...
„Kochałaś mocno i cierpiełaś wiele
„Serdeczną boleść, grób tylko znieczuli.“

Przeczytała szeptem i zwróciła się do męża.

— Ach, więc to grób Haliny? Jak smutno pomyśleć, że ona pierwsza posiadała serce twoje...

— Bądź wyrozumiałą, najdroższa!... — szepnęła tkliwie.—Kochałem Halinę, bo nie znałem ciebie.

Wspomnienie pierwszej miłości, zgasił szybko świetny blask czarnych oczu, patrzących na niego miłośnie.

Na grobie Haliny, nie pojawiły się już nigdy wonne róże białe...

* * *

Złoczone kraty bogatego grobowca, otacza mnóstwo wieńców, szarfy białe wiją się wśród zieleni.

Skromny bluszcz nie wstydi się pysznych sióstr swoich i braci. Wązkim pręcikiem pnie się do góry, oplata żelazne sztachety i znów listki jego szmerzą cicho... Niezbyt dawno słyszał tu jęki i zale. Rozpaczająca żona targała na sobie wdowie szaty swoje, wielkim głosem wołała do Boga, że zabrał jej wszystko, ukochanie jej najwyższe, istotę najdroższą, bez której żyć nie może, nie będzie!

Tłum współczujących otaczał ją... Minęło miesięcy kilka, zjawiała się znowu, pochylona na ramię młodzieńca.

— Ukochany mój!—szepnęła cicho, zatrzymując się przy grobowcu, nie tak cicho jednak, by nie usłyszał bluszcz, zieleniejący się zawsze, mimo że towarzysze jego powiedli od dawna. — Ukochany mój, daruj mi, że cię tu prowadzę. Teraz gdy mi takie szczęście zajaśniało, gdy wiem, że kochasz mnie i żoną twoją zostanę, chciałam zobaczyć jak grób tego biedaka wygląda. Jemu tylko zawdzięczam, że moim będziesz... Wszak się nie gniewasz?..

Miałby się gniewać? Obojętne mu to zupełnie. Krocie spoczywającego tu biedaka, krwawym jego potem zdobyte należą już prawie do niego, zrujnowanego panicza, wraz z bielutką rączką tej, którą tamten, ów biedak, wy dobył z nędzy, dając miłość i dostatek.

Od tej chwili bluszcz zdumiewająco rozrastać się zaczął. Rósł i rósł w coraz większe i piękniejsze strojąc się liście i tak gęsto splótl niemi grobowiec, że owa niegdyś rozpaczająca żona, imienia swego męża odczytać by już nie mogła.

* * *

Gałązka bluszczu spuszcza się powoli po przez złoczone kraty grobowca, coraz niżej i niżej, aż wreszcie dosięgła malej, obok leżącej mogiłki i oplata ją miłośnie zaczęła. Pod zieloną darniową spali mały Stasio... jedyne szczęście bladej, szczupłej kobiety, która co święto przychodzi odwiedzić swoje najdroższe kochanie. Listeczki bluszczu pieszczotliwie muskając przedwcześnie zwiędła jej skroń słuchają cichego szepotu:

— Stasiu, Stasiu, czemuś ty odszedł od mamy! Ciężko mamie żyć bez ciebie... Jak tobie tam zimno, synku mój maleńki... Gdyby mama nie była taka biedna, ty mogłeś żyć... Miałbyś ciepłe sukienki i dużo mleka jak inne dzieci i mama nie płakałaby teraz na twoim grobie...

Minęła nie jedna wiosna, lato i jesień... gałązka bluszczu miała czas otoczyć mogiłkę i krzyżyk mały wiankiem zieleni, a blada kobieta równie często kłęczy na mogiłce i tuli głowę z rozpaczem łkaniem do chłodnej ziemi.

Wanda Grot-Bęczkowska.

Z podróży po Brazylii.

(Dokończenie).

Długoletnia wszechstronna praktyka na plantacjach kawy, przemawiała za jego znajomością przedmiotu, gdyż przed laty przywędrował do Brazylii jako biedny wychodziec i na facyendzie pracował początkowo jako robotnik. Tam poznał swą żonę, czynną również przy zbiorze kawy a jakkolwiek w pierwszym roku wiele ponieśli trudu, drogo opłacać musieli swe środki do życia, jednakże mężnie przetrwali złe chwile. W następnym roku, już szło im lepiej, gdyż własny kawałek roli udzielonej każdemu koloniście, mógł ich wyżywić, a przy pilnej pracy na kawowej górze mieli dochodu kilkaset milrejsów. Dzieci stały się dla nich błogosławieństwem pod każdym względem, pomagały przy zbiorach, dochód się powiększał, i pomimo zdarzających się chorób, i nieszczęśliwych przejść, są oni w możności zakupić już piękny kawałek gruntu obejmujący kilkaset morgów, w celu założenia własnej plantacji kawy, co podniesie cztery do pięciu razy, w ciągu kilku lat, wartość nabytej ziemi. „Komu służy zdrowie, kto jest pracowity, oszczędny i wytrwały, temu powinno się powodzić w tym kraju i klimacie.“ Takie było zdanie tego człowieka.

Chętnie byłabym przesiedziała na rozmowie noc całą, ale trzeba było udać się na spoczynek, gdyż nazajutrz rano, mieliśmy zamiar konno zwiedzić całą facendę wzdłuż i wszerz. Rządca towarzysząc nam na spacerze, jednocześnie miał zamiar przekonać się osobiście, czy robotnicy jego zajęci już byli wbijaniem pali, dla oddzielenia tej posiadłości od sąsiednich. Idzie tu mianowicie o to, aby wyzyskać położenie rzeczy. Pod tym względem jest tu tak, jak na całym świecie: „Kto pierwszy, ten lepszy.“ W Brazylii jest niemożliwym ściśle określić, gdzie kończy się jedna posiadłość, a zaczyna druga—kto więc pierwszy oznaczy swą granicę, na tem dobrze wyjść może; w procesy Brazylijczyk nie wdaje się, gdyż kosztta i trudy są za wielkie w stosunku do wartości ziemi.

Nazajutrz, piękna pogoda sprzyjała naszej wyprawie; ciemnopasowe kardynały amerykańskie czyli Tangary o jasno pasowych czubkach, i prześliczne małe koliberki z różnobarwnymi, połyskującymi skrzydełkami, zwane przez poetycznych Brazylijczyków „pocałunkami kwiatów“ igrały i świergotały wesoło wśród krzewów róż i bananów. Droga, którą dążyliśmy, prowadzi najpierw przez faliste niwy, trawą pokryte, służące za pastwiska dla licznych trzód bydła, używającego tam paszy, przy niczem niezakłóconej swobodzie, — następnie przez rozpaczliwie smutne stopy, w których piaszczystym gruncie, sterczą kiście palmowe, i kwitną liczne trujące rośliny, pokryte złoto—zółtem owocem, kształtu śliwki. Step obfituje również w wyższe drzewa, w cierniste wachlarzowate palmy, krzewy bawełny, i różnorodne egzotyczne rośliny, nadające krajobrazowi cechę południa.

Podczas jazdy byłam jedynie znakiem zapytania; uwagę moją przykuwało ciągle coś zajmującego, i bezustannie pragnęłam nowych objaśnień. „Co to jest?“ zapytałam na widok dużych szarych kamiennych stosów, o piramidalnym kształcie, przecinających nam drogę.

„To są siedziby zjadliwych termitów, gatunku mrówek, przed którymi nie w domu uchronić nie można, co nie jest ze szkła lub metalu. Są one zdolne, w ciągu jednej nocy, zjeść całe worki mianokowej mąki, ukąszenie ich jest bardzo bolesne, a tak silne, że nawet myszy i szczury przed nimi uciekają.“ Miłe stworzonko!

„A co biega tam tak szybko, czy to szczury?“ zawołałam wskazując ciemne masy, które trudno było rozpoznać w brzasku porannym.

„To są tatusy, zwierzątka, których mięso jest jadalne, a twarde pancerz służy na wyrób rozmaitych damskich drobiazgów“. Rządca zsiadł prędko z konia, chcąc zehwycić jedno ze zwierzątek, które właśnie zniknąć miało w otworze ziemi; pochwycił je, lecz wyciągnąć nie mógł.

Przeznaczona dla mnie szkapa była łagodna jak baranek, zanadto nawet powolna; pomimo niestannego popędzania, zachowywała się obojętnie; byłam oburzona, że tak złe powzięto o mnie wyobrażenie, i nie tałam odczuwanego upokorzenia. Złośliwy uśmiech zagrał na zwykle łagodnej twarzy mojego rodaka, poprosił abym na chwilę zsiadła z konia, sam wskoczył na niego, i w jednej chwili znikł mi zupełnie z oczu. Oniemiałam z przestraszenia; koń który po kilku minutach znów stanął przedemną, z głową dumnie podniesioną, rozwianą grzywą, i kopytami niecierpliwie grzebał ziemię, był jakby nie tem samem zwierzęciem.

„Szanowna pani“, wyrzekł pan Vogt, pomagając mi wsiąść na mego wierzchowca, „najlepszy mój koń ma zaszczyt nieść panią, tylko tak rozumnemu stworzeniu mogłam ją powierzyć, gdyż wie ono dobrze jak się ma zachować pod swoim jeźdźcem“.

Zawstydzona głęboko, przypatrywałam się z szacunkiem szlachetnemu zwierzęciu, które z mądrym poczuciem mej nieudolności, strzegło mnie od możliwej porażki.

Dostawszy się na najwyższe wzniesienie „Campos“ (stepowe wyżyny Brazylii środkowej) zastaliśmy robotników, gorliwie zajętych wbijaniem pali, a więc dobry interes udał się.

Po południu, gdy zegnaliśmy kawową górę, odezwał się do nas uprzejmy gospodarz: „Należałoby także zwiedzić kawałek dziewiczego lasu, zanim państwo opuszczą wewnętrzną część Brazylii, trzeba ubrać się w najgorsze odzienie, włożyć grube buty, chustkę na głowę i naprzód w drogę!“

Zachwyciła mnie myśl wycieczki do dziewiczego lasu, poznania tajemniczej leśnej samotni, której sam opis w dziełach Coopera wzbudzał we mnie trwogę. Za chwilę byliśmy gotowi.

Nasz przewodnik szedł ciągle naprzód, i już z drogi prowadzącej do lasu, ukazywał nam paprocie, wybujałe do wielkości drzew, a które ja zdalęka za palmy brałam.

Im dalej posuwaliśmy się w las, tem gęściejsze było zadrzewienie; wkrótce nasz przewodnik zmuszony był posługiwać się ostrym szerokim nożem, który miał zawieszony u boku, w skórzanej pochwie, i odcinać niezliczone powietrzne korzenie drzew magnoliowych, rosnące przy gałęziach, wrosnięte w grunt około pnia jak trzcina i tworzące nieprzebytą zaporę.

W lesie najmniejszego śladu drogi, ziemię zaś pokrywały spróchniałe gałęzie, w których grzęzły nogi głęboko za każdym krokiem. Nad głowami naszymi, olbrzymie drzewa tworzyły sklepienie za pomocą nieznanego u nas rozrostu niezliczonych pasożytnych roślin.

Z trudem przeciskałam się przez te roślinne zapory i pod nimi, oddawna już cierniste gałęzie i pręty, bezustannie o mnie się ocierały i suknię na strzępy darły; ale cóż mnie to obchodzić mogło, w chwili zachwyty nad nieznaną dzikością natury?

Miałam przytem dosyć zajęcia, odsuwając obiema rękami gałęzie, uderzające mnie po twarzy za każdym krokiem, a przewodnik torujący nam jako tako drogę, nawoływał bezustanku: „Nie zapomnijcie państwo patrzeć na ziemię, między spróchniałymi gałązkami pełno jest węzów“.

Nie jestem tehorzliwej natury, lecz na samą myśl nadeptania węza, przejmował mnie dreszcz lodowaty, wstrząsał mną każdy szelest suchego liścia, lecz na szczęście przyczyną trwogi było tylko złudzenie, najmniejszy nawet robaczek nie przesunął się przez drogę. Jednakże uspokoiłam się do-

piero, gdy stanęliśmy przed długo poszukiwanymi „dusicielami“, pasożytami, które prawdziwego olbrzyma drzew oploty tak silnie, jak węże najdziwniejszymi skrętami, że stary pień zwał się na koniec.

Wdrapaliśmy się na takiego upadłego olbrzyma, który jedynie koleją swego losu służył teraz za most, przez wspaniałą wodospad, huczący po głązach.

Utrudzeni pochodem orzeźwiłiśmy się przy świeżem źródle, wciągając wodę za pomocą trzciniowych roślin.

Charująca wspaniałość miejsca oniemiała nas. W milczeniu i skupieniu ducha przypatrywaliśmy się pięknej, dzikiej naturze. Zacięta, nieubłagana walka o światło i powietrze w tym leśnym labiryncie, przywoziła na myśl nasze ludzkie usiłowania. Potężny pień leżał tu przed nami obalony, pasożyty pozabawiły go sił żywotnych, dalej chylił się drugi olbrzym, podtrzymywany jeszcze przez silne powietrzne korzenie sąsiednich drzew, pragnących nie dopuścić jego upadku, trzeci zaś, którego nie uratować już nie mogło, pociągnął i zagrzebał pod sobą niezliczoną ilość kwiatów i delikatnych krzewów. Powietrze stawało się coraz bardziej parne i gorące; odetchnęliśmy dopiero po wyjściu na otwartą przestrzeń. Powróciwszy do domu, czułam na całym ciele nieprzyjemne palenie i kłócie, i spostrzegłam z przestraszeniem, że byłam pokryta małymi płaskimi owadami, brunatnego koloru, które wpiły się tak głęboko w ciało moje, że nie mogłam ich usunąć, a tylko odrywać. „Są to karaby, rodzaj kleszczy, trzymające się liści i krzaków na skraju dziewiczego lasu, i czepiające się odzienia, przy najlżejszem poruszeniu gałęzi“, objaśniała żona zarządzającego, „od tej kłeski, uwolnić nas może jedynie, kąpiel z tabacznego łągu“. Musiałam być zapewne nieco przygnębiona tym nabytkiem, albowiem pocieszano mnie jak zwykle w takich razach tem, że unikałam gorszych napaścików, a mianowicie małych piaskowych pehełek, które mogą się przecisnąć przez najściślejszy szew bucika, następnie ukrywają się pod paznociem nóg, składają tam jaja, wywołujące bolesne bardzo opuchnięcie. W takim wypadku pomódz może tylko operacja, za pomocą noża lub igły, a murzyni w tem celują.

Pięknie, cudnie w głębi Brazylii, a jednak, gdy nazajutrz rano wsiedliśmy do wagonu, który miał nas przewieźć do Saint Paolo, uczułam się szczęśliwą z powrotu do warunków życia cywilizowanego świata, nie zapoznawszy się osobiście z węzami i nie doświadczywszy operacyjnej zręczności murzynów.

Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej, gdyż nie każdy łatwo przystosować się może do innego klimatu, i nie każdy posiada zdolność umiejętnie wyzyskać wszelkie warunki.

E. F.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż zamierzona od pewnego już czasu reforma żeńskich zakładów naukowych została odłożoną do końca bieżącego roku szkolnego. Układają się projekta zmian, jakie wprowadzone być mają w czasie oznaczonym.

— Zjazd producentów mąki w Petersburgu, zgromadzonych w celu naradzenia się nad sprawami produkcji mąki i wyrobów mącznych, mieścił w gronie swoim kobiety. Związek przypuścił żądające tego panie i do biura związku, które zaliczać je będzie do urzędników etatowych.

— W d. 20 Stycznia „Kurier Warszawski“ ogłosił, iż inicjatywa zawiązania się w mieście naszym Towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży, została podjęta przez grono pań, na którego czele stoją: p. p. Marya Franciszkowa Olszewska, Kuczalska Reinschmit, Bojanowska Józefa. Obok tego zawiązało się drugie grono takie, co wykazuje bar-

dzo szczęśliwe zainteresowanie się tą sprawą kobiet naszych. Zdwojona ta czynność bynajmniej przeszkadzać sobie nie będzie, bo szerokie tu jest pole dobrej działalności obywatelskiej.

— Komitet kolonii letnich dla ubogich dzieci warszawskich, rozpoczęła już czynność przygotowawczą. W d. 23 bieżącego miesiąca grono lekarzy, oraz pań, zajmujących się tą sprawą, odbyło pierwszą radę ułożenia planu potrzebnych tu czynności, a wkrótce potem rozpocznie się zapis wstępny kandydatów i kandydatek z pośród ubogich, odetchnięcia świeżem powietrzem potrzebujących dzieci. Czynność kwalifikacyjna odbywać się będzie w lokalu lecznicy 1-ej, tak jak się to powtarza od lat czterech.

— Wykonywając ostatnią wolę ś. p. Rozalii Auerbachowej, Warszawska Rada miejska dobroczynności publicznej zgodnie z przedstawieniem urzędu starszych warszawskiego zgromadzenia kupców, wyznaczyła 45 rs. na wsparcie trzech wdów po zubożałych kupcach. W wykonaniu zapisu Magdaleny Głuchowskiej procent od kapitału, przedstawiający przeszło rs. 19, przyznano jako posag wychowawce domu podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus.

— Z zapisu ś. p. Emilii Matyasek Warszaw. Tow. wzajemnej pomocy artystów muzycznych przyznało trzem wdowom po artystach muzycznych wsparcie w kwocie 25, 28 i 35 rs. Do grona Towarzystwa zapisało się na członków pań jedenaście: Borzęcka Apollonia, Borzęcka Helena, Babel Marta, Chęcińska Zofia, Dydyńska Jadwiga, Fijałkowska Stanisława, Hertzler Marya Ludwika, Narożna Antonina, Niklewicz Wanda, Niklewicz Janina, Oksink Helena.

— Siostra miłosierdzia, pracująca w szpitalu Dzieciątka Jezus, Marya Deszczyńska obchodziła w tych dniach półwiekowy jubileusz poświęconej swej pracy. Urodzona w 1826 r., wstąpiła w 1845 r. do zgromadzenia Siostr Miłosierdzia reguły S-go Wincentego à Paulo, niosąc przez lat czterdzieści pomoc chorym w wymienionym szpitalu. Zyskała sobie przy tej służbie świętej szacunek ogólny.

— Otwarty został w mieście naszym przytułek dla podupadłych obywateli ziemskich, wzniesiony kosztem zacnej pani Seweryny ze Pstrokońskich Tymowskiej. Przytułek mieszczący się przy ulicy Śliskiej, Nr 60, zajmuje pokoi cztery na parterze, między którymi jeden obszerniejszy stanowi jadalnię i pokój bawialny, gdzie pensyonarki zbierają się zwykle; sypialni jest trzy, w których każde łóżko osłonięte jest parawanem, co stanowi pewnego rodzaju oddzielność bardzo wygodną. Przytułek przyjmuje bezpłatnie zubożale, najmniej lat pięćdziesiąt liczące panie, albo też za opłatą 10 rs. miesięcznie. Pensyonarki bezpłatne obowiązane są do wykonywania pewnych robót kobiecych, co niewątpliwie jest dla nich rzeczą pożądaną, bo obok zajęcia, potrzebnego każdej istocie ludzkiej, mieści się tu uczucie ambicji szlachetnej, że nie żyje się z łaski ludzkiej, z miłosierdzia. Założycielka przyrzekała dawać przez lat trzy po 1.000 rs.

— Krajobraz p. Stankiewiczówny „Zima“, wystawiony w Salonie Krywulta, odznacza się wyższymi zaletami pędzla. Znawca odpowiedni, bo Gerson, przyznaje obok prawdy w kolorycie, świeżość w dotknięciu, wytworność roboty, do jakiej „nie wznosił się żaden z artystów naszych, przedstawiających krajobrazy zimowe“.

— Między odczytami, urządzonemi staraniem nauczycielek krakowskich, p. Mieczysława Sleczkowska wygłosiła „Młodość Narezy Żmichowskiej“. Obraz młodości tak szlachetnej i podniosłego ducha kobiety mógł wywrzeć wrażenie wzniosłe. Samo wzbudzenie pamięci Żmichowskiej już jest rzeczą dla społeczeństwa korzystną, bo młodsze pokolenie zapragnie poznać jej utwory, pełne wzniosłego piękna.

— We Lwowie zaczęła wychodzić *Gazeta Mleczarska*, poświęcona wyłącznie sprawom tej gałęzi pracy kobiecej na wsi. Ze jest to rzecz dla pań ziemianek bardzo użyteczna, dowodzić nie potrzeba. Prenumerata 1 zł. reń. rocznie.

— Klara Schubert, posiadająca godność doktora filozofii, wygłosiła w Berlinie, w klubie Wiktorya, cykl odczytów z historii sztuki z zakresu odrodzenia. Przemawiała tamże z katedry Anna Morsch

przez miesiące trzy, od 1-go Listopada do 31-go Stycznia, także z tego działu, przedstawiając słuchaczom ocenę dzieł muzycznych, między którymi miejsce pierwsze zajmował „Oberon“ Webera i „Freischütz“.

— Francuzka siostra miłosierdzia, siostra Agnieszka, przełożona tegoż zgromadzenia w Breście, otrzymała krzyż Legii Honorowej, dwudziesta dziewczęta kobieta z rzędu, której pierś ozdabia ta zaszczytna oznaka zasługi obywatelskiej. Pierwszą z kolei była tu siostra Marta, wdowa Bigot, ozdobiona w 1815 r. własnoręcznie przez Napoleona I-go. Po za siostrami miłosierdzia, otrzymała ją kobiet dziewiętnaście. Ostatnie z pośród nich są: M-me Koechlin Schwartz, alzatka i M-me Poucher de Carel.

— Mrs Walerya Bemm przewodniczyła niewieściemu zgromadzeniu w Londynie z celem utworzenia ligi kobiecej, nie pozwalającej pracy sklepowej kobiet po godzinie w pół do ósmej i nie kupującej nie w sklepach, gdzieby wymagano od kobiety pracy o tak późnej porze.

— Mrs Klara Goslett, irlandka z rodu, odbyła podróż szczegółową po całej przestrzeni swego kraju, jako misyonarka zdrowia, miewająca odczyty w rozmaitych gałęziach swego zadania w stosunku do potrzeb miejscowych. Rzecz ta pożyteczna odbyła się pod kierunkiem i nadzorem dublańskiego Tow. Zdrowia z licznym współudziałem słuchaczy. Miss Alicya Ravenhill, należąca do Narodowego stowarzyszenia zdrowia odbywa z ramienia tegoż stowarzyszenia objazdy po kraju, zaznaczając miejscowości nie zdrowe z natury swego położenia w nizinach wilgotnych, w wozach nie mających przewiewu powietrza, i tym podobnych warunkach szkodliwych dla organizmu człowieka.

— Kobiety Holandji odezwały się za pośrednictwem dzienników i odczytów, iż pragną głosu w sprawach swego kraju, w czym pozyskały sobie znaczącą już część posłów do parlamentu. Pragnienie to odnosi się szczególnie do prawa głosu w sprawach wychowania i praw matki, zwłaszcza do córek.

— W Bordeaux ma być urządzony przy jednej ze szkół miejskich dla dziewcząt oddział nauki gospodarstwa domowego „classe ménagère“. Istnieją już tam w szkołach dziewcząt oddziały nauki kroju, szycia, prasowania i w ogóle domowych prac kobiety. Wykłady gospodarstwa kobiecego w kierunku zarządu domem oddane zostają nauczycielom ekonomii społecznej z celem oświecenia kobiety jaką jest łączność dobrobytu narodowego z zasobami rodzin. Administratorowie kas oszczędności przyznają corocznie nagrody nauczycielom, których wpływy oddziaływały na zwiększenie się liczby młodych uczestników między uczniami szkół i szkółek ludowych.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie, donoszą iż w radzie państwa rozpatrywanym będzie projekt, podniesiony przez ministra dóbr państwa, organizacyi kółek rolniczych. Kółka takie poczęły powstawać przed kilkoma laty, zakładane przez ziemian w celu ułatwienia sobie zbytu produktów i kupno przedmiotów niezbędnych do podniesienia stanu kultury rolniczej. Zapowiedziany zjazd rolników, został odłożonym bez określenia czasu.

— Według doniesień z Petersburga departament rolnictwa opracował wiele środków, mających na celu podniesienie uprawy tytoniu w państwie. Przedewszystkiem zbadane być mają dokładnie warunki uprawy w różnych miejscowościach takich, których klimat odpowiada potrzebnym tu warunkom, i tam urządzone zostaną odpowiednie stacje i pola doświadczalne.

— Wystawa obrazów w Moskwie otwarta będzie w miesiącu przyszłym. Według zgłaszania się artystów, chcących tu brać udział, zbiór zapowiada się licznie.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej, przyjęła zapis s. p. Ludwika Steinke, 1.000 rs., na wyposażenie wychowanek Instytutu Ś-go Kazimierza, oraz 200 rs., na budowę przytułku dla zubożałych rzemieślników.

— Do wydawnictw szczególnie pożytecznych dla zliczyć należy katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży, wydany z zapomogi Kassy imienia D-ra Mianowskiego. Rodzice nie zawsze chcą i mogą czytać wszystko, co literatura dla młodego wieku zawiera, a przecież jest to rzeczą niemałego znaczenia aby czytanie to było odpowiedniemi a zarazem zajmującym, co wyrabia zamiłowanie do czytania — rzecz bardzo ważną przez wpływ swoje. Oceny tu zawarte opracowało grono osób, oddających się pedagogii, a dodać trzeba, że dokonano tego bardzo treściwie i bardzo dobrze, wykazując tendencję książki, oraz jej zalety, lub braki formy — jej wartość pedagogiczną i literacką, co ma znaczenie bardzo wielkie, bo książka pisana nudnie, bez potrzebnej tu iskry talentu, nudzi dziecko a wtedy i zamiłowanie do czytania wyrobić się nie może, co stanowi wielką, ogromną szkodę. Co do treści przyjęto tu do działu beletrystyki powieść, poezję, opowiadania, dalej podróże i ich przygody, wreszcie książki popularno-naukowe, przyrodnicze, oraz pomagające przy nauce pogładowej. Podział co do wieku czytelników zawiera działów cztery.

— Warszawskie biuro informacyjne nędzy wyjątkowej otrzymało w miesiącu ubiegłym z ofiar dobrowolnych 1.969 rs., i wsparło w przeciągu tegoż miesiąca 731 rodzin ubogich.

— Projekt budowy domu, któryby mieścił zakład sierot dziewcząt, zostający pod opieką War. Tow. Dobroczynności, podniesionym został przez p. Szymona Krzeczakowskiego. Zakład ten liczy 80 wychowanek, a znajduje się w głównym gmachu Towarzystwa na Krakowskim Przedmieściu, gdzie przecież nie odpowiada warunkom, jakich tu pragnąć należy. Jest bowiem za szczupły i sąsiaduje tuż zrazem z zakładem starców i kalek; obszerniejsze pomieszczenie zakładu pozwoliło by na lepsze warunki wychowawcze, zwłaszcza potrzebnym by tu był ogród, gdzie sieroty mogły by się zapoznać z ogrodnictwem w jego działach owocarstwa, warzywnictwa a dalej pszczolnictwa i jedwabnictwa. Obok tego urządzoną by była pralnia, prasownia i kuchnia, gdzie razem sieroty sposobiły by się na służące jako kucharki i młodsze. Można też mieć nadzieję, że myśl ta podniesioną zostanie i znajdą się środki na jej urzeczywistnienie.

— War. Tow. Dobroczynności zaprosiło p. Kazimierza Sobańskiego na prezesa komitetu opieki nad wychowancami zakładu sierot chłopców, oddawanych do terminu, na miejsce ks. Michała Radziwiłła, powołanego na wice-prezesa War. Towarzystwa Dobroczynności.

— Dzienniki doniosły, iż hr. August Potocki sprzedał rok temu „Kazanie Skargi“, pendzla Matejki do galerii hr. Milewskiego za cenę 30.000 rs., z zastrzeżeniem prawa cofnięcia umowy w ciągu roku, z czego hr. Potocki korzystając obrazu z pałacu swego w Warszawie nie wydaje.

— Paryskie czasopismo. „Le monde illustré“ zwróciło się do fotografa w Wilnie, p. Stanisława

Fleury, aby zasilał to wydawnictwo miejscowym materiałem etnograficznym. Typy, widoki, wizerunki, wszystko będzie pożądanem. Fleury jest utalentowanym rysownikiem i akwarelistą, a posiada cenny zbiór rycin: typy i sceny z życia miejscowego.

— Malarze krakowscy, wnieśli skargę na wadliwy statut tamtejszego Tow. Sztuk pięknych, który nie pozwala członkom brać żadnego udziału w sprawach administracyi Towarzystwa. Przyłączyli się tu i malarze warszawscy z Wojciechem Gersonem na czele, przypuścić też można, że dyrekcya Towarzystwa zgodzi się na reformy i wprowadzi taką organizacyę, jaka istnieje w Warszawskim Towarzystwie Sztuk pięknych.

KOLONIE LETNIE

dla ubogich,

słabowitych dzieci

W WARSZAWIE.

Po raz czternasty Warszawa ma w tym roku wysłać na wieś, na kolonie letnie, dzieci słabowite rodziców ubogich.

W roku zeszłym, dzięki ofiarom i pomocy ludzi dobrej woli w całym kraju, przeszło 1.800 dzieci warszawskich krzepiło zdrowie i siły na świeżem powietrzu.

Grono osób niżej podpisanych, otrzymało w roku zeszłym upoważnienie władzy (odezwa Jaśnie Wielmożnego Jenerał Gubernatora z d. 17 Kwietnia 1894 r., za Nr 3668) do zbierania ofiar i do urządzania kolonii letnich w latach 1894 i 1895, na warunkach przez tę władzę określonych.

Grono to, przystępując obecnie do wyboru dzieci, wysłać się mających w r. b. na kolonie letnie i do zebrania zawczasu potrzebnego na ten cel funduszu, zwraca się z prośbą, o przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Kolonie letnie kapitałów nie posiadają; istnieją i rozwijają się jedynie kosztem corocznie zbieranych ofiar, Bóg da, że i w roku bieżącym ofiar tych nie zabraknie, że oczekiwania rodziców, niemogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzionemi nie będą.

Ofiary składane być mogą na ręce Skarbnika, Dyrektora Aleksandra Czajewicza, codziennie od godziny 2 do 3, w biurze Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Miejskiego (Ulica Włodzimierska) a nadto na ręce osób niżej wymienionych i wreszcie w redakcyach czasopism.

Brzezińska Emilia, Karłowicz Irena, Krzycka Marya, Natanson Leonia, Pawińska Jadwiga, Czajewicz Aleksander, Konie Henryk, Lubowski Henryk, Pawiński Adolf, Skłodowski Władysław, Święciecki Julian Adolf, Tanenbaum Leon, Wieniawski Julian.

Przewodniczący St. Markiewicz.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego ark. 5.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — **Bluszcz**, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg). — **List z Anglii**, przez Henryka. — **Na cmentarzu**, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — **Z podróży po Brazylii** przez E. F. (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: **Za cudzą winę**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego arkusz 5-ty. — **Przegląd mód**. 37 wzorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.